

# ODRRA

## TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II

Katowice, Wrocław, Szczecin, 30 czerwca 1946 r.

Nr. 20 (31)

Stefan Sulima

### Na krańcach

02015

#### WIOSNA PONAD SPRAWAMI ŚMIERCI

Śmiałość urbanistycznego rozplanowania i bogactwo zieleni czynią ze Szczecina miasto naprawdę ładne i przyjemne, aczkolwiek ubogie w artystyczne zabytki. Krocząc ulicami miasta, po większej części w cieniu starych, rozłożystych drzew, nie można się oprzeć wrażeniu, że zarówno budynki, jak zamasyście poprowadzone arterie ulic rozsiadły się tu chyba na ruinie dawnego lasu. Wystarczy wyjechać kilka kilometrów za miasto, by przekonać się o trafności tego spostrzeżenia.

Kilkadziesiąt kilometrów naszej podróży w okolice Szczecina, to ciągle zapadanie w lasy, z których wynurzamy się tylko na krótko, by przelecieć mimo uprawnych pól, łąk i wsi. Poza tym świetna, granitowa kostka wykładana, szosa biegnie lasem. Całymi kilometrami mamy w oczach migotliwą grę różnych tonacji zieleni, pokrywającej niby pstre kleksy na ochronnej płachcie, zwarte ściany lasu. Żywa soczysta zieleń drzew liściastych sasiaduje tu z ciemnym matem igliwia sosen, a niby światło teatralnej ramy bije od dołu świeży koloryt borówkowych krzaków. Porastają one znaczne przestrzenie lasu w takich ilościach, że miejscami tworzą gęsty puszysty dywan.

Wierzyć się nie chce, że kilka kilometrów stąd rozpoczynają się rozległe dzielnice willowe Szczecina, a o pół godziny jazdy tętni gwarem olbrzymie miasto, jeden z największych w swoim czasie portów na Bałtyku i centrum zawrotnych interesów. Trudno też uwierzyć, że rok temu, gdy budząca się wiosna, tak jak dziś, pobudziła wszystkie siły przyrody do nowego życia, przez tę spokojną okolicę przewaliła się burza wojny. Jeśli znajdują się tu jakieś groby i walają się porzucone narzędzia śmierci, to są one niewidoczne spod zasłony zieleni, którą zwycięska przyroda zarzuciła nad sprawami śmierci. Gdyby nie sterczące tu i ówdzie lufy samotnych armat, niewidome, potrzaskane ślepia reflektorów lub pogruchothane szczątki samochodów, nawet myśl o wojnie nie zmąciła by tej idylli leśnej, gdzie nawet samotna barykada z pni drzew stara się przystosować do otoczenia i usiłuje... kwitnąć.

Kilka miesięcy temu nie jeździło się tędy dla przyjemności. Starzy „pionierzy” szczecińscy, których wieziemy ze sobą, przeżyli tu nie jedną strzelaninę i szaloną jazdę, napotkawszy bandy władców lub niedobitki SS. Jeździło się tędy tylko z konieczności i tylko za dnia — z automatem pod ręką, z oczami wbitymi w szosę i zagadkową ścianę lasu.

Mijane wsie noszą widoczniejsze ślady wojny, a przede wszystkim oznaki nieładu i zaniedbania. Jednakże i ten odwrotny retusz nie jest w stanie zastąpić właściwego oblicza tej ziemi. Dawny dobrobyt i wysoka stopa życiowa uwidacznią się nawet w ruinach, w walącym się po polach, podwórzach i rowach szmelcu. Maszyny rolnicze (wiele ich stoi w polu, tam gdzie je zaskoczyła wojna), niedobitki rasowych świń, owiec i bydła, pasące się po ogrodach, wiejskie warsztaty reparacyjne, mówią wyraźnie, ile dawała ta, na oko piaszczysta i jałowa, ziemia pomorska. Z jej plonów wyrosły też te schłodne i obszerne domy, tonące w ukwiecionych sadach, lub cofnięte za sztachety niewielkich ogródków. Proszą się one dzisiaj o dobroczynną działalność gospodarskiej ręki.

Na razie trwa tu prowizorium, spowodowane brakiem rąk do pracy. Pozornie wielkie rzesze osadników, spotykane na całym Zachodzie pod etapami PUR ów, całe pociągi osiedleńcze, mijane na trasach kolejowych, nie wystarczą, by zasiedlić odzyskaną ziemię. Rozpiływają się w terenie.

Biało-czerwone chorągiewki, powiewające z niektórych domów, świadczą, że i tutaj dotarła fala osadnictwa. Są to widome znaki powracającego życia i nadzieja na przyszłość. Kontrastują z martwością opuszczonych zagrod i ponurą obecnością niemieckich budynków, od których wieje beznadziejnością i bezsilnością skazanych na utratę pozycji.

#### NACH DER HEIMAT...

Odpyły Niemczyzny z zachodnich kresów państwa, znany nam tylko z prasy w centralnej Polsce, dokonuje się tu bowiem systematycznie i stale. Nie potrzebni w gospodarce Niemcy muszą opuszczać Polskę i wracać do swoich. Widok Niemców, ciągnących kolumnami do portu w Szczecinie, stracił tu wszelkie cechy niezwykłości. Dziesiątki tysięcy Niemców przedelflowało już tak ulicami miasta i dziś znajduje się w Niemczech. W terenie ruch ten budzi większe zainteresowanie i... reminiscencje.

Co pewien czas mijamy grupki ludzi, wędrujące na Szczecin, w których wyszkolone oko od razu poznaje dawnych znajomych. Zmieniły się tylko role a dramat, który dotąd był naszym udziałem, rozgrywa się obecnie w zmienionej obsadzie. Na odmianę gną się plecy niemieckie pod ciężarem tobołów, a niemieckie „Frauen“ uwożą na wózkach sterty bagażu. Pod tym względem i wielu innymi reżyser poczynił pewne skróty w tekście.

Procesowi wysiedlania Niemców brak przede wszystkim specyficznej atmosfery gwałtu, akompaniamentu grózb, wrzasków i razów — tych wszystkich akcesoriów niemieckiej władzy, którymi raczono w takich wypadkach naród polski. Reżyseria polska jakoś nie przywłaszcza wagi do tych efektów i osiąga skutek nieskończenie większy: niemiecki exodus ma przebieg dziwnie naturalny.

Kto zna, choćby tylko ze słyszenia, martyrologię wygnańców z Poznańskiego, Pomorza, Śląska czy Lubelszczyzny, w której moment rozstania z ziemią rodzinną stanowił szczególnie bolesne przeżycie, nie może się nadziwić Niemcom. Ich obojętność, z jaką pchają wózki, jest niepojęta. Ani jednego spojrzenia wstecz, ani jednego odruchu wzruszenia. Cała ich uwaga koncentruje się na unoszonym bagażu, który otaczają najtroskliwszą opieką.

Jeśli na nas nie dość było kompanii SS-ów i groźnych do ostateczności rygorów, tutaj nie trzeba nawet poganiacza. Nie tylko nie otaczają ich kordony stalowych hełmów i najeżone lufy automatów, ale rzadko w ogóle towarzyszy im milicjant z niedbale przerzuconym przez ramię karabinem. Patrząc na niego ma się wrażenie, że w tym wypadku reżyser przesadził w robieniu nastroju i zapewnił scenę trzeciorzędnych postaciami. Kroczy sobie taki jegomość flegmatycznie kilka kroków za grupką Niemców i albo gwizda przez zęby, albo śledzi harce ptaków, śmigających po lesie. Z nim czy bez niego skutek jest jednaki. Ciężko ładowane wózki toczą się ku miastu, a objuczeni Niemcy od czasu do czasu ocierają pot z czoła.

#### SPRAWY WIELKIE W MAŁEJ OSADZIE

Celem naszej podróży jest Warpno Nowe, ongiś rybackie miasteczko w centrum niemieckiego wybrzeża — dziś miejscowość pograniczna. Niestety, czy na szczęście, dzisiejszy Zachód nie uskarża się na nadmiar atrakcji, godnych pokazania żadnemu wrażeń turyście z centralnej Polski. Wyczuwam lekki żal mego amfitriona, który tucze się ze mną na wozie, że nie zjawiłem się tu choćby jesienią ubiegłego roku, gdy świeży szlak wojny pokrzyżowany z tropem szabrownika dostarczał na poczekaniu silnych i niepowtarzalnych wrażeń.

Warpno ma więc być namiastką, tego co już przebrzmiało, osobliwością innego gatunku. Stanowi ją najdalej w Polsce na zachód wysunięta pozycja geograficzna i, jak zapewniają towarzysze podróży, dzieciwość, jeśli idzie o szaber. W ich mniemaniu jest to coś w rodzaju parku narodowego, którego nie skalala (z pewną oczywiście licencją) stopa szabrownika. Szlaban w poprzek drogi zamyka dostęp do miasteczka, i posterunek wojskowy kontroluje wóz a pasażerów na kilka kilometrów przed celem podróży. Nie wątpliwe jest więc coś prawdy w tych gadaniach.

Milutkie miasteczko leży nad podkową zatoki, która jest fragmentem Zatoki Szczecińskiej. Niewielkie molo z polską flagą na maszcie, kołyszące się na kotwicy łodzie i sieci rozwieszone na brzegu do złudzenia przypominają tuzinkowe akwarelki marynistyczne, którymi tak chętnie obwieśza się ściany „szanujących się” domów. Małomiejskie uliczki, wysadzone drzewami, jednorodzinne domki i kamieniczki i ów prowincjonalny istic spokój, jaki emanuje z każdego kąta, dodają miastu tyle powabu, że mimowoli budzi się ochota, by zakopać się tu, jak na końcu świata, zdala od męczącej atmosfery wielkich miast. Pokusa jest tym silniejsza, że widok, jaki rozciąga się z mola, budzi jakieś uśpione wspomnienia dawno przeczytanych książek i egzotycznych filmów o morzach południowych i czarodziejskich wyspach Polinezji.

Naprzeciw mola, o dwa może kilometry — brzeg zatacza zamasyście półkole i niemal zamyka wejście na morze. Tuż nad brzegiem czerwienią się dachy domków rybackich, osadzone w sonej oprawie la-

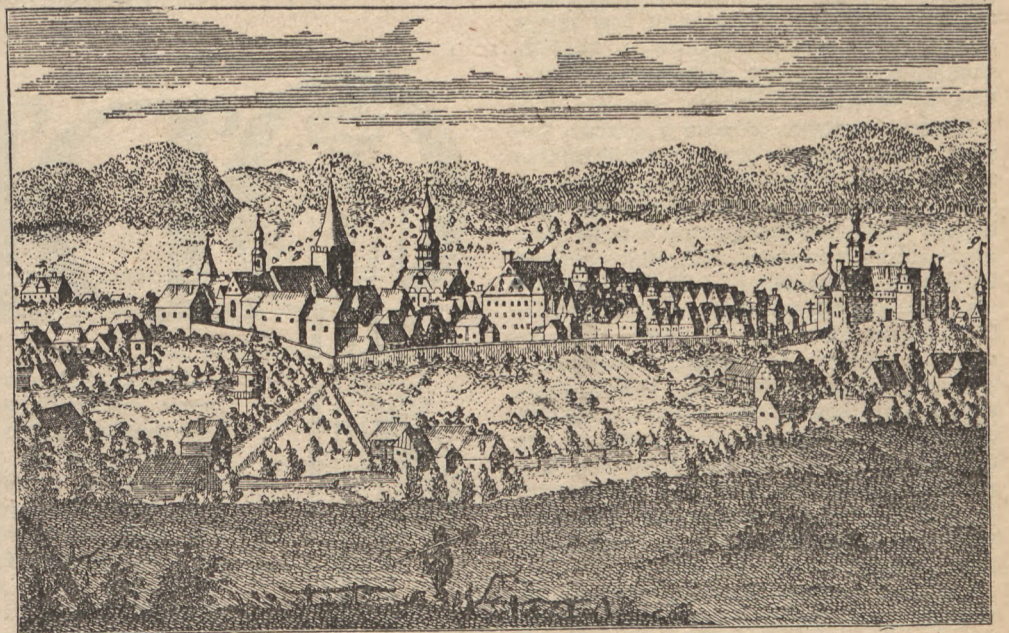
### Perspektywa Odry

Referendum ludowe, które odbędzie się 30 czerwca stanowić będzie dla Ziemi Odzyskanych wielką manifestację polskości. Naród polski oświadczy nie po raz pierwszy ani ostatni zresztą swoją niezłomną wolę pozostania nad Odrą, Nysą i Bałtykiem.

Warto na tym miejscu i w obliczu zbliżającego się referendum przypomnieć fakt, że uczeni i pisarze polscy przez swoje wypowiedzi w czasie okupacji i obecnie niejednokrotnie już wypowiedzieli swoje TAK w odniesieniu do naszych zachodnich granic. Ostatnio jeszcze raz znalazło to swój dobitny wyraz w uchwale III Sesji Rady Naukowej dla Zagadnień Ziemi Odzyskanych, powziętej w dniu 17 czerwca w Krakowie. Czytamy w tej uchwale: „Polski świat naukowy... wyraża głębokie przekonanie, że na trzecie pytanie referendum w sprawie granicy zachodniej Polski padnie jednolita odpowiedź w całej Polsce, a frekwencja w głosowaniu i polskie „tak“... stwierdzą mocną wolę Narodu utrwalenia granicy wzdłuż Odry i Nysy”. Pod uchwałą tą widnieją podpisy kilkudziesięciu najwybitniejszych przedstawicieli polskiego świata kulturalnego i naukowego. Ludzie ci są spod różnych znaków politycznych. W ten sposób oświadczenie to ma wartość nie tylko wobec Narodu Polskiego oraz wobec polityki Rządu w tej sprawie, ale stanowi równocześnie cenny i niepodlegający żadnej dyskusji dokument dla zagranicy.

W jasnej odpowiedzi Narodu szukać będziemy wszyscy oparcia i siły w dalszych wysiłkach nad ostatecznym włączeniem Ziemi Odzyskanych w polski organizm państwowy i narodowy.

Odpowiedź potwierdzająca nie będzie zatem wynikiem dogodnej koniunktury politycznej, ale ucieleśnieniem naturalnych tęsknot Narodu i przystaniem, do której zdążyły, lub powinny być zdążyć wszystkie drogi historii Polski.



Stary Niemcz

Dm m / 02



Alojzy Targ

# Analiza sąsiedzkiej niezgody

## PANSLAWIZM, TŁO AUSTRIACKIE i REWINDYKACJA „TESIŃSKA”

Trudności i przeszkody w kształtowaniu się stosunków polsko-czeskich nie są dnia dzisiejszego. Mają one tło historyczne. Nie wynikają też jedynie ze sporów granicznych, jakkolwiek spory te mają już swoją przeszłość i stosunki nasze z sąsiadem czeskim obciążły dość szczególną psychozą.

Gdy idzie o genezę trudności w stosunkach z Czechami, trzeba ich szukać już w XIX wieku, kiedy czołowi działacze i politycy obydwu narodów zaczęli formułować podstawy i wytyczne polityki narodowej, pozostającej w ścisłym związku z obu dżeniami się nowoczesnej myśli narodowo-politycznej i kulturalnej, zwanego pan-Historyczne zjawiska te pozostają w dość ścisłym związku z powstaniem wtedy w świecie słowiańskim silnego prądu ideowo-politycznego i kulturalnej, zwanego panslawizmem. Na ideologii tego prądu zaciężyła wybitnie myśl rosyjska; w Rosji carskiej znajdował on też zawsze bardzo silne poparcie. Narody słowiańskie Europy środkowej i bałkańskiej, zagrożone bezpośrednio czy pośrednio niebezpieczeństwem niemieckim, zdradzały żywe zainteresowanie tym kierunkiem, między innymi Czesi. Na tym tle ujawniały się też dość zasadnicze różnice w poglądach między Polakami a Czechami na t. zw. prądy panslawistyczne.

Obok tego zasadniczego źródła różnic przyczyną ogólniejszej natury, utrudniającą znalezienie wspólnej platformy, była odmienna postawa i linia polityczna, jaką reprezentowali na terenie parlamentu austriackiego politycy polscy i czescy w odnośnych kołach parlamentarnych. Tu już gromadził się konkretny materiał do poważniejszego antagonizmu. Jak głęboko te rzeczy utkwily w świadomości czeskiej, mieliśmy się możliwość przekonać właśnie rok temu w rozmowach z Czechami, kiedy w ostatniej fazie wojny znaleźliśmy się na terenie Czech południowych. Wypowiadając powyższe zdanie, nie mam zamiaru poddawać krytyce polityki koła polskiego w parlamencie austriackim, bo ani nie jesteśmy do tego kompetentni, ani też nie w tych uwagach na to miejsce. Stwierdzamy fakt.

Do tych momentów natury ogólniejszej, tu jedynie urywkowo zarysowanych, doszły jeszcze sprawy bardzo konkretne, najogólniej mówiąc, pograniczne, zaogniające stosunki między narodem polskim a czeskim. Wylania się przede wszystkim sprawa Śląska Cieszyńskiego, przeżywającego od połowy minionego wieku intensywny proces odrodzenia narodowego. Ludność Śląska Cieszyńskiego nawskroś polska, co uznają wtedy jeszcze uczeni czescy — nauka w tym czasie nie była jeszcze na usługach polityki — manifestuje coraz żywiej swe związki z narodem polskim. Na tym więc terenie, którego oblicze etnograficzne nie może ulegać dyskusji, rozpoczynają działalność narodowo-polityczną Czesi, próbując stworzyć podstawy pod przyszłą, ewentualną rewindykację „Tesinska”. Na dłuższą metę nieuchronny był konflikt między polskim ruchem narodowym a akcją czeską, konflikt zrazu lokalny, z czasem przybierający charakter ogólnonarodowy, a więc formę antagonizmu, antagonizmu groźnego, bo obciążonego urazami psychicznymi. Stronę polską razilo n. p. szczególnie to, że Czesi w swej akcji politycznej cieszyli się życzliwością władz austriackich. Wystąpiła tu nawet na tym małym odcinku podstawowa zasada niemieckiej polityki wobec Słowian: zasada jątżenia, zasada popierania słabszych przeciw silniejszym i bardziej niebezpiecznym.

## REKA POLSKA NIE BYŁA ZWINIĘTA W PIĘŚĆ

W te stosunki wzajemnego antagonizmu nie wniosła odprężenia pierwsza wojna światowa. Nie wniosła go ani w kraju, ani za granicą, gdzie przecież interesy obydwu narodów reprezentowali mężowie niepośledniej, ba, historycznej miary. Porozumienie uniemożliwiało znowu przede wszystkim sprawa Śląska Cieszyńskiego.

Tym nie mniej, a możemy to rzeczywiście bezstronnie stwierdzić, bo świadczą już o tym historyczne dokumenty, rękę do zgody wyciągnęła wtedy strona polska. Wyciągnęli ją przedstawiciele Rady Narodowej Śląska Cieszyńskiego. Dzięki temu też doszło do zawarcia porozumienia między Polakami a Czechami 5. 11. 1918 roku, na mocy którego ustalono prowizoryczną granicę między strefą polską i czeską — granicę odpowiadającą wcale dobrze stosunkom etnograficznym. Mimo tego układu Czesi, wykorzystując trudną sytuację polityczną Polski, układ złamali i zaatakowali stronę polską w styczniu 1919 r., powodując t. zw. wojnę polsko-czeską. W konsekwencji tej wojny, w konsekwencji przeprowadzenia niekorzystnej linii demarkacyjnej mniej więcej na linii rzeki Olzy, wreszcie niekorzystnej decyzji międzynarodowej z roku 1920 (ciągle niekorzystna sytuacja Polski), Polska utraciła znaczną część Śląska Cieszyńskiego (t. zw. Zaolzie), z najbardziej uświadomioną narodowo-politycznie ludnością.

Te wypadki i fakty z lat 1918—1920 zaciężyły niestety poważnie na rozwoju stosunków między obydwu sąsiadami, wówczas już niepodległymi państwami, znajdującymi się w niekorzystnej sytuacji geopolitycznej w stosunku do Niemiec i, w prawie równym stopniu przez Niemcy zagrożonymi.

W ciągu minionego XX-lecia stosunki między państwem polskim i czeskim układały się pod względem formalnym, na platformie dyplomatycznej poprawnie, ale też poza tę sferę poprawności nie wyszły. Może to być zrozumiałe, jeśli chodzi o Polskę po roku 1926, po objęciu władzy przez reżim Piłsudskiego, skoro w środowisku tym nie było ani chęci, ani sprzyjającego klimatu do podjęcia inicjatywy w kierunku polsko-czeskiego zbliżenia. Rzecz jednak charakterystyczna, że historia tych lat nie notuje ani jednego faktu, który naprowadzał by na ślad jakiejś konkretnej inicjatywy czeskiej w kierunku zmiany we wzajemnych stosunkach. Czyżby i tam nie było wyraźnej woli i chęci? Bo niepodobna znaleźć wystarczającego wytłumaczenia sprawy jedynie brakiem dobrej woli po jednej stronie. — Ależ tak! Przecież Polska przed rokiem 1926 czyniła różne propozycje Czecho-

słowacji, z których nie wiele wyszło (czyli Polska a nie Czechosłowacja).

Tak zatem na przestrzeni omawianego XX-lecia poza inicjatywą społeczną, inicjatywą różnych instytucji kulturalnych i naukowych, pewnych środowisk po obu stronach, jednostek, poza pewnymi sympatycznymi gestami, żadnych poważniejszych osiągnięć w stosunkach polsko-czeskich nie możemy zanotować. W tej, najogólniej biorąc, mało przyjaznej atmosferze zaszły wypadki 1938 r., które niestety nie przynoszą zaszczytu ówczesnemu Państwu Polskiemu. Sama rewindykacja Zaolzia jest sprawą odrębną, ale forma, w jakiej ją przeprowadzono, stanowi plamę na naszej polityce. Nie wiele pomoże tu wytłumaczenie, że precedens jest po stronie czeskiej, bo i my nie byliśmy w wesolej sytuacji, gdy nas w roku 1919 zaatakowali Czesi.

Kiedy przed rokiem Czesi, używając nam troskliwej gościnności, podnosili te rzeczy w rozmowach, dodając z żalem, że przecież Polska nie powinna była tego zrobić, przyznawaliśmy im rację, tłumacząc równocześnie, że nie lepiej postąpiła Republika w 1919 r. Wyrażając zdziwienie, nie bardzo orientowali się o co chodzi. Zważywszy dość wysoki poziom dojrzałości politycznej społeczeństwa czeskiego oraz stosunkowo wysoki poziom ogólnego wykształcenia, byliśmy tym zaskoczeni. Pewne wyjaśnienie zagadki dała nam dopiero obecnie, sprzeczna z prawdą notatka w jednym z organów czeskich. W dzienniku p. t. „Prace” z kwietnia br. podano: „Od czasu, kiedy delegacja polska wróciła z Praги do Warszawy, zaczęto w Polsce kontynuować prześladowania nie tylko Czechów, ale i tych ludzi, którzy stawieni są przyjaźnie w stosunku do Czechosłowacji i życzyli by sobie prawdziwej współpracy. Chodzi tu zwłaszcza o część Cieszyńskiego, zabraną w 1920 roku“ (!)

Tak więc obok rewelacyjnych wiadomości o rzekomych prześladowaniach nawet sympatyków Czechosłowacji w Polsce, dowiadujemy się jeszcze, że myśmy w 1920 roku zabrali część Cieszyńskiego. Ciekawe wiadomości! Mamy poważne wątpliwości, czy jest to najlepszy sposób urabiania nastrojów politycznych, sposób tak niedwuznacznie przypominający metody niemieckie. Wreszcie, czy tego rodzaju metody

przynoszą cokolwiek dobrego wzajemnym stosunkom. Takie przechytrzenie nie oplaca się chyba nawet w polityce.

## KONCEPCJE I MOGIŁY

Z żywymi śladami wypadków w 1938 r. w pamięci weszły oba narody w okres drugiej wojny światowej. Pierwsza faza tej wojny zdawała się zapowiadać poważniejsze i głębsze zmiany w stosunkach polsko-czeskich. Zmiany te wrożyły nie rozwój współpracy pod wspólną okupacją, ale współpraca polsko-czeska na terenie zagranicznym. Życzliwe zwłaszcza ustosunkowanie się emigracji czeskiej do koncepcji współpracy polsko-czeskiej, wysuniętej przez Sikorskiego, nie obciążonego niczym w opinii czeskiej, rokowało dobre nadzieje na przyszłość. Co prawda, można było mieć wątpliwości, czy na tle wszystkich poprzednich negatywnych precedensów, oba narody dojrzały już do tak bliskiego współzycia. Tym nie mniej sama idea godna była poważnych wysiłków. Rozwój jednak sytuacji międzynarodowej, pogłębiające się różnice zdań między politykami czeskimi a polskimi na zachodzie, sprawiły, że Czesi wycofali się z koncepcji Sikorskiego. Samo też zagadnienie poważniejszej współpracy utkwilo na marwym punkcie.

Obok jednak tych przyczyn zasadniczej natury, które może zrozumieć każdy trzeźwo myślący człowiek, odegrały tu również rolę, momenty koniunkturalne. W pierwszym okresie wojny Czesi chętnie garnęli się do współpracy, gdyż mając fatalną pozycję na terenie międzynarodowym — jak by nie było, ciążyło na nich piętno kolaboracjonizmu (Rząd Machy) — potrzebowali Polski. Z chwilą zaś, gdy przy pomocy Polski poprawili swoją pozycję, przestali się interesować współpracą z Polską.

Na kontynencie tymczasem, na terenie obydwu sąsiedzkich krajów, na terenie pogranicznym, zachodziły z jednej strony pozytywne ewolucje z drugiej zjawiska przykre. Katastrofa Polski i ogrom wspólnych przeżyć pod okupacją hitlerowską zacierał coraz silniej przykre wspomnienia 1919 i 1938 r. Nie bez wpływu pozostawały w tym względzie w Czechach relacje z Polski o szczególnie bestialskich jak w żadnym innym kraju formach okupacji. Wreszcie fakt doniosły. Czesi po raz pierwszy w swym życiu jako naród przeżyli prawdziwą niewolę, co prawda lżejszą od naszej, ale niewolę w całym tego słowa i w nowoczesnym tego słowa znaczeniu. Rzecz jasna, że musiało to wywrzeć pewien wpływ na psychikę czeską, zbyt realistyczną i kupiecką, spowodować w niej pewne zmiany, które ułatwiły by psychiczne zbliżenie z narodem polskim, zwłaszcza, że na tle wspólnego losu po obu stronach wzrastała świadomość dotychczasowych błędów i konieczności zmiany.

Na węższym natomiast odcinku, na nie-szczęsnym pograniczu zachodziły tymczasem zjawiska nader ujemne. W południowo-zachodniej części Śląska Cieszyńskiego (Zaolzie) nie tylko nie ułożyło się żadne współzycie między Polakami a Czechami, ale co gorsza, tamtejsi Czesi — w każdym razie część tamtejszych Czechów, — w czasie wojny współpracowali z Niemcami przeciw Polakom. Podajemy te rzeczy, nie aby jątżyć, ale by sobie wreszcie powiedzieć prawdę, bo niestety są w tym względzie konkretne fakty. Zważywszy, że teren Zaolzia jest dosłownie usłany mogiłami ofiar terroru hitlerowskiego, mogiłami, w których spoczywają wyłącznie Polacy, te fakty współpracy czesko-niemieckiej na Zaolziu mają ponurą wymowę.

Rasując, musimy stwierdzić, że na odcinku stosunków polsko-czeskich bilans 25-lecia — bo ten okres jest najważniejszy — które potraktowaliśmy tu rzutem oka, jest negatywny. Nawet na tle tej garści, konkretnych faktów, obiektywnie i spokojnie napisanych, nie trudno ustalić, czyje konto jest bardziej obciążone. Nie może ulegać wątpliwości, że strona polska wykazywała więcej dobrej woli, która po tamtej stronie nie znalazła dotąd należytego oddźwięku. W uwagach następnym pozwolimy sobie omówić aktualne możliwości układu stosunków polsko-czeskich.

Józef Nacht

## ZEMSTA

Słupy telegraficzne związane drutami  
nie biegły sobie naprzeciw.

Las gadatliwy zamilkł  
i księżyc błady nie świecił.

Skonał już ból na drutach  
i żaden cud się nie stał.

W zbrodnią drgających minutach  
pogańska rodzi się zemsta.

Ból się powiesił na drucie  
i mdlał ogromny i czarny,  
wiatr rozpaczliwie go cucił  
i mrok ku chmurom się garnął.

Tadeusz Sokół

## POWRÓT

Droga złociła się piaskiem.  
Po obu stronach  
rosło zielone żyto,  
a bliżej nad stokrociami  
zółte mlecze.

Szły krowy  
i becząc  
odpędzały kurz  
kłębiący się od nóg  
po wahała ogonów.  
Krowy miały wymiona wzdęte mlekiem,  
pyski zasnuły pianą.

A na rozstaju  
pomiędzy kątem dróg i żyta łanem,  
załamany nad powiędłymi kwiatami  
stał Chrystus.  
Po rozkrzyżowanym ramieniu  
ku twarzy spływało słońce.

Krowy oborę otwierały beczeniem.  
Chrystus w słońca berecie ponał.  
W drzwiach domu  
własne rozkrzyżowałem ramiona.

Aleksander Baumgarten

# Powojenne aspekty filmu

W trudnym i bynajmniej do rocznic nie-sposobnym czasie wypadł 50-letni jubileusz powstania filmu. Szeroki oddech rozwijającej się wspaniale kinofikacji świata został zdławiony brutalnym gestem wojny, zwłaszcza w jej pierwszej fazie. Wiadomo: inter arma silent Musae. Film w państwach walczących przeszedł na wyłączne usługi propagandy i stał się zwyczajnym reporterem wojennej rzeczywistości. Główni aktorzy grali za darmo, z bronią w ręku na wszystkich scenach świata, a światła filmowych jupiterów zastąpiły niemniej efektowne blaski wybuchających bomb i smugi reflektorów lotniczych czy rakiet świetlnych. Strona artystyczna obrazu zeszała na ostatni plan, czemu nie należy się dziwić, zwłaszcza, gdy się zważy, że reżyserzy tego ponurego filmu byli oficerami sztabu i śleczeli nad mapami i wykresami lotniczymi.

Wojna nie pozostała bez wpływu również na produkcję filmową państw neutralnych, zmniejszając zapotrzebowanie dotychczasowych klientów zagranicznych, obostrzając ich cenzurę i utrudniając kalkulacje finansowe. Nic tedy dziwnego, że w pierwszej, początkowej fazie wojny, fazie niepewnych sojuszy politycznych i jeszcze mniej pewnych koniunktur, życie filmowe zamarło prawie zupełnie. Sytuacja zmieniła się dość poważnie, co prawda trudno powiedzieć, czy na korzyść, dopiero w drugim rzucie wojennych poczynań. Dotyczy to obu stron walczących. Niemcy, zajmując wiele krajów Europy, w których kultura filmowa stała wysoko (Francja) nie pozostały obojętne na możliwości propagandowe związane z tym stanem rzeczy. Powstaje cały szereg filmów o specyficznym, politycznym charakterze, przy zachowaniu pewnych cech pseudorodzimych. Aktorzy i reżyserzy biorący udział w tych filmach są dziś wszędzie pod poważnym zarzutem kolaboracji z Niemcami i sprawa ich weryfikacji pasjonuje poszczególne kraje i ich filmową publiczność. Filmy takie nakręcali Niemcy wszędzie: we Francji, Holandii, Belgii, Czechosłowacji, Jugosławii, Rumunii. — Oczywiście próbowali i w Polsce. Smutny jednak los aktorów, biorących w tych polskich filmach udział (Sym, Stępowski, Samborski) kazał im zaprzestać tej „pracy kulturalnej“ w tak niewdzięcznym kraju. Przy tej okazji warto by wspomnieć, że podobno p. Ortym, znany sprzed wojny kierownik teatru dla dzieci ma dowody niewinności Stępowskiego. W każdym razie sprawą tą należałoby się zająć.

Wracając do naszego zagadnienia musimy przyznać, że i po drugiej stronie barikady tj. w obozie Aliantów, po pierwszych wstrząsach wojennych, produkcja filmowa zaczęła się ożywiać, oczywiście w ramach aktualnej rzeczywistości przedstawiona na koncepcje propagandowo-wojenne. Powstaje cały szereg filmów o charakterze dokumentarnym. Filmy angielskie, amerykańskie czy radzieckie od pierwszej chwili są zasadniczo odmienne od wojennych filmów niemieckich. Różnica polega na tym samym na czym opiera się odmiennosc charakterów tych narodów. Inny jest również ciężar gatunkowy tych filmów. Kinoteatry niemieckie, jak i obrazy przez nie wyświetlane, obliczone były przede wszystkim na masową i jednolitą a zwłaszcza spreparowaną reakcję widzów. Nic dziwnego też, że w pewnych, z góry odmierzonych momentach filmu antyalianckiego odzywał się t. zw.: „spontaniczny“ śmiech na sali, lub ogłuszające oklaski. Rzecz nie do pomyślenia np. w Anglii, gdzie widzowi każe się myśleć i przeżywać a nawet współtworzyć z reżyserem filmowym. Angielska sztuka filmowa nawet w filmach monumentalnych zachowuje kameralny charakter. Dla tego w angielskim kinoteatrze tyle jest rodzajów percepcyjnego wyświetlanego obrazu, ile jest miejsc na sali. Bardzo rzadko też zdarzają się wspólne, zbiorowe odruchy wesołości, czy oburzenia. Bo niełatwo je osiągnąć. I dlatego propaganda filmowa, czy urabianie opinii za pomocą filmu była robotą wysokiej klasy i wymagającą bardzo ciekawych naci. Ale też i rezultaty tego rodzaju pracy reżysera, czy aktora były zupełnie inne niż w Niemczech. Pamiętajmy, że filmy w rodzaju wyświetlanych u nas „Srebrna Flo-

ta“, „Nieuchwytny Smitih“ czy „Było ich dziewięciu“ — powstały w czasie najrozszybszych walk o Londyn i La Manche. To samo można powiedzieć o sowieckich „Dwóch przyjaciółach“ czy „Kurhanie małachowskim“, które powstały na zapleczu strasznego frontu, w atelier Alma-Ata.



Pat i Patachon śmieszyli poprzednie pokolenie.

Pamiętajmy również i o tym, że filmy te przeznaczone były dla widzów wojennych, na spektakle, które nieraz trzeba było przerywać wskutek zarządzanego alarmu przeciwlotniczego. Jakąż potężną sugestię miały w sobie te niepozorne, celluloidowe taśmy, skoro czar ich potrafił zgłuszyć wybuchy bomb i rozładować strasliwe napięcie serc wsłuchanych w szum śmiercionośnych samolotów.

Trzeba bowiem podkreślić, że popularność filmów wzrosła podczas wojny niebywale. Przyczyna tego jest jasna. W oczach zabiedzonych i na śmierć wymęczonych wojną ludzi, sala kinowa, ze swoją wiecznie wspaniałą choć nierealną rze-

czywistością, była jedynym azylem i to azylem łatwo dostępnym, gdzie można było choć na chwilę wytchnąć i zapomnieć. Teatr tego dać nie mógł, zanadto zresztą przypominał rzeczywistość żywą, prawdziwą ludziom, którym właśnie chodziło o złudę, o miraż. Dlatego takim powodzeniem cieszyły się podczas wojny rozmaite filmowe okropieństwa, których tematem była przedwojenna, prawdziwa mi-



Flip i Flap czynią to samo, ale 15 lat później.

łość, jak prawdziwymi były korty ubraniowe amantów czy jedwabie ich bohaterów. Tłok na sali kinowej podczas takiego seansu był najbardziej wzruszającym, bo podświadomą i niezorganizowaną manifestacją przeciw wojnie.

A wojna tymczasem trwała. Obiektywne reporterów filmowych pracowały na wszystkich frontach i trzeba bodaj na tym miejscu złożyć hołd tym nieznanym żołnierzom drugiej wojny światowej, którzy tuż za pierwszymi szeregami fotografowali zmienne oblicze historii. Ileż z tych zdjęć przeżyło swoich twórców. Na iluż frontowych fotografiach czy filmach widzieć można zadrapania i rysy. To retusze woj-

ny, która nigdy i nikomu nie będzie pozować bezkarnie.

Nie zapominajmy również, że filmy te bezpośrednio po zakończeniu wojny zaawansowano do roli historycznego dokumentu. Toż w procesie norymberskim do dzisiejszego dnia mdleją na sali ludzie podczas wyświetlania filmu oskarżającego Niemców. Seans ten — z kinowego staje się spirytystycznym, bo na sali sądowej pojawia się makabryczna defilada duchów więźniów pomordowanych w niemieckich obozach koncentracyjnych. Co prawda, musimy w tej chwili przyznać się ze wstydem, że nie tak dawno temu w t. zw. „Generalnej Gubernii“ mdleli ludzie, Polacy, stojący w ogonkach u okienek kasowych w kinoteatrach niemieckich, lub wyświetlających niemieckie filmy. Mdleli nie ze wstrząsu czy oburzenia, ale po prostu z powodu ścisłu przy kasie, mimo, że prasa podziemna codziennie nawoływała do opamiętania i przypominała zakaz uczęszczania na te filmy. Ano cóż, jeszcze jeden dowód na to, jak trudno wyrzec się kina, a jak łatwo — patriotyzmu.

Ale może za ostro sądzimy te sprawy. Pamiętajmy bowiem, że np. Anglicy, czy Rosjanie mieli w okresie wojny własne filmy do dyspozycji, oraz, co najważniejsze — nie odcięta drogą do rozmaitych przejawów życia kulturalnego. W Anglii nigdy nie zrozumiano napisu: „nur für Deutsche“, mimo, że wielu Anglików mówi doskonale po niemiecku. Nic tedy dziwnego, że w takiej atmosferze mogły powstawać nie tylko dobre filmy propagandowe ale i nawet majstersztyki tego rodzaju i takiej klasy, jak wstrząsający „Zajazd na rozdrożu“, grany zresztą niedawno i u nas.

Tak tedy przedstawiała się mniej więcej sprawa z produkcją filmową podczas wojny. Ale oto wojna się skończyła i trzeba było pomyśleć o jakiegokolwiek normalizacji stosunków w tej dziedzinie. Ponure dziedzictwo wojny odbiło się oczywiście wyraźnie i w królestwie X-ej Muzy. Zniszczone studia filmowe, zdewastowana aparatura techniczna, brak wielu artystów, z których jedni zginęli śmiercią żołnierską, drudzy w obozach koncentracyjnych a jeszcze inni po prostu skompromitowali się współpracą z okupantem. A czas

Jadwiga Żylińska

## St. Martin's Land i Schlaraffenland

Ktokolwiek mówi o Imperium brytyjskim, ma na myśli Anglię ze Szkocją i Irlandią, dominia i kolonie. Te ziemie są dla każdego niewątpliwie oczywiste, chociaż Wielka Brytania nie zawsze je posiadała i kiedyś może je znowu utracić. A przecież najdawniejszą posiadłością, równie starą jak samo królestwo jest „Fairyląd“, w dolinie Avalon, Island of Lomea“ i „St. Martin's Land“, tych ostatnich położenia geograficznego nie da się wprawdzie dokładnie określić, choć zdaje się że znajdują się w „Lyonesse“ za Kornwalią a może nawet pod wodą w pobliżu Goodwins.

Relacje pomiędzy mieszkańcami St. Martin's Land i Anglią nie były nigdy jasno sprecyzowane, wiemy tylko — że istniały. Od czasu do czasu istoty z St. Martin's Land zjawiały się między ludźmi i potem odchodziły, pozostawiając za sobą smugę niewypowiedzianej tęsknoty. A jeżeli jakas z tych istot, o których nawet nie było wiadomo, czy posiadają duszę — a księża zgodnie utrzymywali, że jej nie miały — zostawała wśród ludzi i wchodziła w związki małżeńskie (gdyż i takie wypadki się zdarzały, że ksiądz nie wiedząc o tym, sakramentem wiązał duszę chrześcijańską z mieszkańcem St. Martin's Land) prawie zawsze można ją było rozpoznać, choć próbowała uchodzić za człowieka. Małżeństwa takie, na przekór prawu i kościołowi bywały szczęśliwe, lecz dzieci z nich zrodzone miały jakąś dziwność. Stronity od ludzi, uciekały od dzwonów kościelnych, ciągnęły je do wody i stworów wodnych. A co najstraszniejsze dla tych, którzy ich kochali, po latach przebywania

między ludźmi, opuszczali dom rodzinny i w poczuciu, że należą do innej ojczyzny, ruszali na poszukiwanie Fairy Land. Z tych, którzy poszli, większość nie wracała; czy odnaleźli swoją ojczyznę, czy zginęli po drodze — nie wiadomo. Czasem nad jakąś wodą znajdowano ich zwłoki. Bardzo rzadko — przecież zdarzało się — że po siedmiu latach nieobecności ten i ów wrócił do ludzi. Przyniósł z sobą perły i zielone suknie, których z pewnością ludzkie ręce nie tknęły. Im dalej w przeszłość tym żywsze były kontakty z St. Martin's Land.

I tak:

„In th' olde dayes of the Kyng Arthour,  
Of which that Britons speken greet honour,  
All was this land fulfilled of fairye.“  
(W dawnych czasach za króla Artura  
Którego Brytyjczycy z wielką cześcią wspo-  
[minają  
Cały kraj był pełen wróżek (Chaucer))

i wiemy że jeden z Rycerzy Okrągłego Stołu poślubił wróżkę. A miecz Artura Excalibur był wszakże darem wodnicy. Potem co raz rzadziej mieszkańcy St. Martin's Land zjawiali się wśród ludzi i z czasem niemożliwością stało się odnalezienie tej krainy.

Przecież jeszcze w XIII wieku w Berwickshire, zdarzył się wypadek, że uroczy i młody Thomas Learmont, pan na zamku Erzildoune, został uprowadzony przez piękną zjawę, którą spotkał błądząc po lesie. Istota ta była w zielonej sukni i jechała na siwym koniu, a była tak cudna że Thomas Erzildoune, chociaż wiedział

jakim niebezpieczeństwem jest dla człowieka śmiertelnego dostać się w moc wróżek, zawarł z nią pakt, że za jeden pocałunek pójdzie do niej w służbę na siedem długich lat. Po siedmiu latach wrócił do zamku Erzildoune. Po czym upłynęło jeszcze dwa razy po siedem lat, a gdy ludzie niemal zapomnieli o dziwnej, młodzieńczej przygodzie Toma Erzildoune, pewnej nocy księżycowej, strażnik obchodzący mury zamkowe, ujrzał na drodze śnieżnobiałego jelenia z łanią. Zjawisko było tak niezwykłe, że strażę postanowiły powiadomić o nim lorda Erzildoune. A Thomas wstał natychmiast i powiedział:

— Ach to jest znak od królowej Elfów, na który od dawna czekałem.

i opuścił zamek po moście zwodzonym i poszedł ze zwierzętami. W blasku księżycyca, strażę widziały jak tych troje: biały jelen, łania i Thomas Erzildoune szli w stronę rzeki, wsiedli do łódki i odплыли, a że prąd wody był bardzo silny, więc prędko zniknęli im z oczu. Poczem nigdy już nikt nie słyszał o Thomas'ie Learmont, dziecku na Erzildoune.

W następnym już wieku opowiada kobieta z Bath:

— But now kan no man se none alves mo...

(Lecz teraz nikt nie może już Elfów zobaczyć)

tak wydawało się Geoffrey'owi Chaucer, gdy pisał swoje „Canterbury Tales“, a jednak:

W roku 1645 niejaka Anne Jefferies z St. Teath została uwięziona przez sędziego John'a Tregeagle, ponieważ twierdziła, że spotkała w lesie sześć wróżek w zielonych sukniach. John Tregeagle, znany zresztą z okrucieństwa, trzymał Anne Jefferies przez pewien czas w zamknięciu, gdzie zdaje się poddawał ją tor-

nagli. Ludność bombardowanych miast i osiedli, ludność wyczerpana samym choćby przeżywaniami ostatnich lat, pragnęła odpoczynku, szukała rozrywki, wołała wielkim głosem o film, jako najpowszechniejszy chleb kultury. Przeczytanie książ-



Boyer, jak zawsze niezawodny, w jednym z najstarszych swych filmów.

ki wymagało czasu, odwiedzenie teatru — pieniędzy — pozostawało kino, stare poczciwe kino, łatwo dostępne, łatwo dogadujące każdemu. — Nie można tu również zapomnieć o Radio, ale, jak zobaczymy, nie stanowi ono dla filmu konkurencji, a poza tym, mało kto, zwłaszcza w zwolnionej od okupacji Europie, miał do dyspozycji odbiornik radiowy.

Licząc się tedy z koniunkturą doby powojennej, stanęły do pracy zastępy ludzi filmu. W związku z tym powojenna produkcja filmowa poszła w tematyce w dwóch zasadniczych kierunkach. Po pierwsze wspomnienia z ostatniej wojny, względnie związane z nią problemy, a po drugie: — rozrywka. Oba kierunki narzuciło życie, oba są psychologicznie najzupełniej uzasadnione i proste. W pierwszym wypadku, zdawałoby się na pierwszy rzut oka nie rozumiałym, — gust publiczności idzie w kierunku wtórnego przeżycia jakiegokolwiek epizodu wojennego w tej miłej, pełnej nerwowego dreszczu atmosferze, jaką daje świadomość zupełnego, rzeczywistego bezpieczeństwa w sali kinowej, przy równocześnie przeżywanym niebezpieczeństwie fikcyjnym, które daje film. Pomyślmy: ile to emocji daje takie wtórne przeżywanie już przeżytej wojny, spokojnie za niedrogie pie-

niądze. Nie mówiąc już o biletach wolnego wstępu, bo wtedy emocja się pogłębia.

Potrzeby filmu o charakterze rozrywkowym uzasadniać po wojnie nie potrzeba. Nasze wojenne rozrywki były albo bardzo niewybredne, albo zanadto wstrząsające. Film tedy odpoczynkowy, bez problemów czy wesoły może w dzisiejszych warunkach zawsze liczyć na powodzenie.

Równocześnie jednak z rozwojem powojennej produkcji filmowej powstała potrzeba stworzenia jakichś nowych kryteriów kontrolnych, któreby tę produkcję ujęły w artystyczne karby, któreby mogły wpływać na kształcenie gustu publiczności kinowej i któreby równocześnie mogły być sprawdzianem artystycznej wartości powojennych filmów. Oczywiście pierwsze wystąpiły z inicjatywą te kraje, w których wojna nie przerwała rodzimej produkcji filmowej, więc Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Powstają tam filmowe akademie, kształcące młodych techników i artystów srebrnego ekranu. Ostatnio akademie tego rodzaju powstała w Londynie. Wartoby i u nas, w Polsce, pomyśleć — no może nie od razu o akademii, ale bodaj o szkole powszechnej czy freblówce filmowej. W stosunku do naszej rodzimej produkcji byłoby i to dość wiele.

Poza tym zwrócono również uwagę i na inne problemy, związane z podwyższeniem jakości produkowanych po wojnie filmów. Amerykańska Akademia Umiejętności i Wiedzy w Hollywood ufundowała coroczną międzynarodową nagrodę za najlepszy utwór filmowy — świata. Do jury powołano m. in. Charles-Boyer'a i Walta Disney'a. Jest to poniekąd kontynuacja sławnego weneckiego Biennale, na którym również przyznawano nagrody najlepszym filmom.

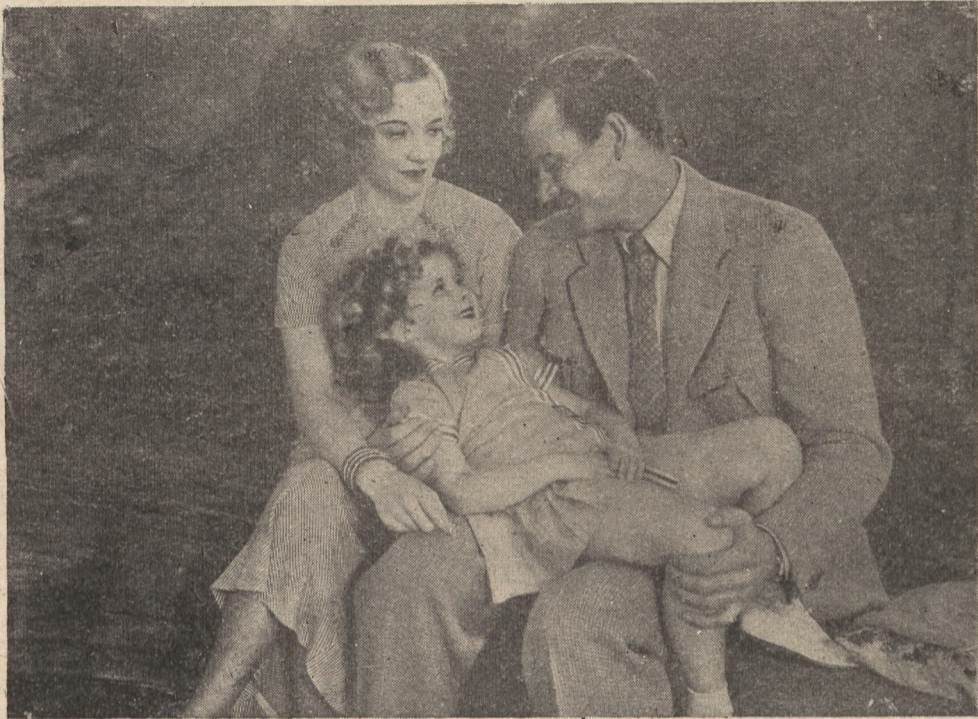
W roku bieżącym cały świat kulturalny przystąpił do uczczenia 50-lecia powstania filmu. We wszystkich niemal państwach utworzono specjalne komitety, które zajmują się upamiętnieniem rocznicy genialnego wynalazku braci Lumier'e, a jedna z amerykańskich wytwórni wyprodukowała nawet obraz poświęcony w całości historii filmu, zmontowany z całego szeregu filmów, nawet tych wzruszających pierwszych kroków z czasów, kiedy film był jeszcze nie nawet: „wielkim niemową“, ale małym niemowlęciem. — Niezależnie od tego w Stanach Zjednoczonych powstała pierwsza na świecie „Filmoteka“ czyli po prostu archiwum filmowe, w którego specjalnie skonstruowanych piwnicach zmieszczą się wszystkie filmy

dawne i nowo wyprodukowane na przestrzeni „najbliższych“ 100 lat. Jak widzimy świat kulturalny ocenia w całej pełni wkład artystyczny pracy filmowej do międzynarodowej skarbnicy sztuki.

Jakżeż z kolei przedstawia się powojenny start filmowy w poszczególnych krajach świata. Otóż ogółem stwierdzić można, że prawie wszędzie z tych krajów zabrały się do pracy bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych. Nawet producenci filmowi państw, które w wojnie nie brały udziału, przestawiają dziś swoją produkcję na odpowiednie tory, równoległe do koniunktury, czyli wymagań zagranicznego klienta właśnie dotkniętego wojną. Poza tym, że się tak wyrazimy zagadnieniem „linii repertuarowej“, jest jeszcze cały szereg aspektów innego zgoła rodzaju, przede wszystkim zaś związanych z olbrzymimi zdobyciami techniki i cywilizacji (televizja, promienie ultra-

mal tygodniach po wojnie. I tak, np. Anglia, która podczas wojny produkowała same prawie filmy o tematyce wojennej (niektóre z nich mieliśmy już sposobność oglądać) przeszła po wojnie prawie bez reszty na produkcję filmów rozrywkowych (tytuły mówią same za siebie: „Nadeszły dobre czasy“, czy „Karnawał“). —

Odmienne natomiast przedstawia się sprawa w Związku Radzieckim, który w tym roku zresztą obchodzi 25-lecie powstania swojego filmu. Tutaj na pierwszym planie w tematyce filmowej przewidzianej na rok 1946 znajdują się scenariusze wojenne oraz poruszające problemy powojennej rzeczywistości. Filmy te to: „Wielkie życie“, „Admirał Nachimów“ (w reżyserii słynnego Pudowkina), oraz „Dwóch kapitanów“. Oczywiście niezależnie od tego realizuje produkcja sowiecka i inne filmy o tematyce historycznej, rewolucyjnej, sportowej czy biograficznej.



Karmelkowa scena z trzema nieszczerymi uśmiechami. Shirley pozuje wyraźnie.

krótkie itp.). — Do tych spraw jeszcze powrócimy, jak powracać do nich muszą stale wszyscy producenci świata, bo im przede wszystkim one grożą.

Otóż, jak wspomnieliśmy, praca na filmowym froncie, ruszyła ostro we wszystkich krajach świata już w pierwszych nie-

Produkcję Filmową Stanów Zjednoczonych cechuje stosunkowo największa bezproblemowość. Dzieje się to dlatego, że najmniej ucierpiała ona podczas wojny i skutkiem tego najmniejszy też próg dzieli od siebie jej wysiłki i osiągnięcia przedwojenne, wojenne i obecne. Dolar stoi mocno a na film amerykański wyprodukowany w świetnych, niemal ciepłarnianych warunkach czeka z utęsknieniem wygłodniały konsument niemal tak, jak na paczki UNRRA. Oczywiście też można między tymi filmami spotkać, jak i we wspomnianych paczkach towar nie zawsze jadalny. Choć na ogół rzadkie to wypadki. — Trzeba również uczciwie przyznać, że opinia amerykańska potrafi zdobyć się na bezstronność, skoro np. Narodowa Amerykańska Rada Prasowa przyznała pierwsze miejsce w r. 1945 szwajcarskiemu filmowi p. t. „Ostatnia szansa“, przed filmami produkcji amerykańskiej tak pierwszorzędnej jakości jak „Dolina decyzji“ czy „30 sekund nad Tokio“. — Po cichu tylko dodamy, że film „Ostatnia szansa“ firma amerykańska Metro-Goldwyn-Mayer odkupiła „na pniu“ od Szwajcarów i wyświetla obecnie pod swoją egidą. — Bardzo szybko dźwignął się również powojenny przemysł filmowy we Francji. Trzeba co prawda zaznaczyć, że mimo wojny ocalały wszystkie francuskie ateliers filmowe. Nic tedy dziwnego, że wyprodukowano już we Francji około trzydziestu nowych filmów, wśród nich zanotować należy tak poważne osiągnięcia artystyczne, jak „Nadzieja“, (według powieści Andre Malraux) oraz film o świetnej obsadzie: Jean Gabin i Marleną Dietrich pod tytułem „Wrota nocy“. Nie możemy się tedy również dziwić, gdy usłyszymy, że francuski przemysł filmowy zapłacił państwu w roku 1945 — 5 miliardów franków podatku. Jest to suma, której żadna gałąź produkcji francuskiej nie mogła państwu wypłacić.

W Czechosłowacji produkcja filmowa trafiła po wojnie na równie sprzyjające warunki, jak we Francji. Urządzenia produkcyjne ocalały, niektóre z nich zostały nawet przez Niemców rozbudowane podczas okupacji. Obecnie w rozwoju Filmii pomaga Czechosłowacji Związek Radziecki, realizując przy pomocy swoich reżyserów filmy na terenie czeskim. Z wy-

torem. W końcu przecież musiał ją uwolnić: jej wypadek nie miał nie wspólnego z bullą papieską i dekretami angielskich biskupów, dotyczących sztuk diabelskich, na mocy których płonęły stosy z czarownicami. A potem Jenny Permuen, biedna sierota z Townenack, została zgodzona na służbę przez tajemniczego podróżnego i uprowadzona do krainy wróżek. Kontrakt był zawarty na jeden rok i jeden dzień i po tym terminie Jenny Permuen wróciła do rodzinnej wioski. Przez resztę życia opowiadała o dziwach, widzianych u wróżek i ludzie uważali ją za pomyloną, choć poza tym niczym nie różniła się od innych. Była tylko trochę melancholijna. Tęskniła. W żylach wielu mieszkańców wysp brytyjskich płynie krew istot z St. Martin's Land, a Henry Cope<sup>1)</sup>, żyjący w wieku XVIII mówi, że nawet: „krew płynąca w żylach naszych Królów i Królowych“ i Bóg raczy wiedzieć, czy ma na myśli owe kontakty z czasów Mezlina i króla Artura, czy późniejsze, które zostały troskliwie zatajone. Jakkolwiek z czasem niemożliwością stało się rozpoznanie ludzmi potomków St. Martin's Land, zdradzała ich tęsknota za jakimś krajem, który był zagubiony w pamięci, ale istniał w przeszłości i mógł być znowu odnaleziony.

Przesadą było by twierdzenie, że panowie Hawkins, Frobisher, Grenville, Francis Drake i Walter Raleigh ruszyli na poszukiwanie St. Martin's Land. Tyle zresztą i oni musieli wiedzieć, że St. Martin's Land i wyspa Lomea znajdują się w pobliżu „Lyonese“ i że na tę wyprawę nie potrzebują okrętów ani zbrojnych ludzi.

<sup>1)</sup> Henry Cope — postać historyczna, bohater powieści Clemence Dane p. t. „The Moon is feminine“.

Byli awanturnikami i piratami, chciwi na złoto, niewolników i kolonie, a pomimo wszystko, to, co ich wyciągnęło z dostatecznych domów i wygodnych komnat, to, co im kazało opuścić kobiety, które pożąдали i przez które byli kochani, choćby tą kobietą była sama królowa (jak to miało miejsce w wypadku Raleigh a), to nie była chęć łupu i bogactwa, tylko ów mus wewnętrzny, owa tęsknota, która pewnego dnia kazała Walterowi<sup>2)</sup> opuścić dom rodzinny i wyruszyć w świat na okręcie „The Golden Hind“. Wprawdzie awanturnicy XVI wieku nie trafili do „The Wood beond the World“, ale pewnego dnia rzucili całą pewnością i całe bezpieczeństwo życia osiadłego i jak Walter wsiedli na okręt w poszukiwaniu nieznanego kraju.

Frobisher na dwóch maleńkich okręcikach usiłuje odkryć drogę do Chin po przez Ocean Lodowaty, dzielący Amerykę Północną od Azji.

Francis Drake dociera do Gwinei i Indii Zachodnich i pod dowództwem Hawkins'a walczy o Veracruz. Zdobywa Santiago Santo Domingo i wschodnią Florydę. Onże wreszcie jest drugim po Magellanie, który opłynął kulę ziemską.

Wreszcie awanturnicy, rycerski i utalentowany Walter Raleigh zakłada najstarszą angielską kolonię w Północnej Ameryce, którą ku czci królowej nazywa Virginia.

W tym samym wieku kiedy Anglicy stawiają fundamenty pod przyszłe Imperium Brytyjskie, w Niemczech Hans Sachs raz jeszcze podejmuje wątek Schlaraffen-

<sup>2)</sup> Walter — bohater powieści William'a Morris'a p. t. „The wood beond the World“, co znaczy dosłownie „Las poza krańcem świata“.

landu, niedościgłej krainy marzeń germańskich. W Schlaraffenlandzie rzeki płyną mlekiem i miodem, w powietrzu pływają pieczone gołąbki „und Bratwürste an den Zaunen wachsen“. Jest to kraj nieograniczonej ilości jedzenia i picia, które bez trudu może zdobyć każdy, kto trafi do czarowanego kraju Schlaraffów.

Ta ziemia snów germańskich była przed Hans Sachsem opiewana w wieku XV. pod nazwą Schlurafenland przez Sebastiana Brandta, w wieku XIV nazywała się Kurrelmurre, a niemieccy klerycy średniowiecza nazywali ją w swoich pieśniach Cucania. Wyobrażenie Schlaraffenlandu zaczerpnęli jeszcze z starożytności, bo od Lukiana i Herodota, przedstawiającego Etiopię jako krainę niczym nieograniczonego używania.

Te rojenia o państwie Kurrelmurre nie opuściło Niemców już nigdy. Hans Sachs był ostatnim jego piewą, ale kierunek marzeń trwał niezmienny przez pokolenia. Każda wyprawa podejmowana przez tentońskich rycerzy ma jako cel rzeczywistnienie wizji Schlaraffenlandu.

Jakkolwiek szyld zostaje obrany dla każdorazowej wyprawy, idea pozostaje niezmienną, aż do czasów najnowszych do ostatniej wojny o „Lebensraum“. Marzenia o „Gänsebraten“ i „Bratwürste an den Zaunen“ czekają ciągle na swoje zrealizowanie.

Tymczasem Wielka Brytania zdobywa Tanger, Virginie, Bermudy, Kanadę, Bombay, Calcutte, Ceylon, Hong kong, Rangoon. Najbogatsze kolonie świata stają się udziałem Anglików.

Anglicy zdobyli Schlaraffenland, nie zdając sobie z tego sprawy, że jest to kraina, o której marzyli nie oni — tylko Niemcy. Gdyż ostatecznie Schlaraffenland wydawał się im zawsze godny posiadania — ale nie marzenia.





